

Marek Jastrząb

Po-ranne noce (8)

Tłumaczy, że zbrodnią wobec własnych nadziei, jest poprzestać na niej; nie robiąc nic, żyć w przeświadczeniu, że się je zaspokoilo, uprawiać wegetację lalusia wiodącego niebiański żywot fircyka przytulonego do boku złotodajnej kochanki. Przekonuje, że nie potrafi skazać się na taką rolę w jej życiu.

I wierzy w to, co pisze. Rozpływa się w swoim rozbuchanym kłusowaniu po korespondencyjnych całuskach na dobranoc, a magiczne słowo „wkrótce”, zaciera w nim złowieszcze „nigdy”.

Chciał być jej wilkiem; uznanym przez świat i zalegalizowanym przez Kościół; wilkiem – przywódcą rozwojowego stada, jeszcze dwuosobowej watahy, ale już powiększonej o spodziewanego potomka, o nowiutkie wcielenie rodu Balzaków, Wiktora Honoriusza, kontynuatora nieistniejącej tradycji literackich infantów.

Lecz głównie chciał być uważany za wilka oszczędnego, roztropnego, rozważnego. Za władcę jednoosobowego haremu, kierownika magazynu intymnych uciech – wypłacalnego i niezawodnego, jakim zresztą widział się w trakcie pisania.

Z tym „oszczędnym zamiarem” buduje dla niej „Istny Pałac”, reprezentacyjną norę godną kupionej komody Marii Medycejskiej, ziemiankę z komfortem, fabrykę beczek bez dna, kosztów za bezcen i pobożnych życzeń na niewysoki procent.

Pałac w środku, ruina na wierzchu: obraz ten do złudzenia przypomina Balzaka po ślubie.

Na wieść, że za jego sprawą Ewelina znajduje się w odmiennym stanie, szaleje z dumy, czuje się odpowiedzialny za smarkaczowski los przyszłego dziedzica powieściopisarskich splendorów.

Honoriusz Wiktor dodaje mu sił, rozpala gęstniejącą krew, pobudza wenę, uaktywnia mrzonki: „Blaski i nędze życia kurtyzany” pisze przez 9 lat (1838-1847), ale kolejne arcydzieło, „Kuzynkę Bietkę” (1846) – w dwa miesiące.

Jest rok 1847, gdy nadzieje związane z dzieckiem rozpadają się razem z jego przedwczesnymi narodzinami: Ewelina zostaje matką wspomnień po szczęściu, a Balzak zagłusza ból – syzyfową pracą.

Epilog

Wiktor Hugo zajął do niego, lecz choć Honoriusz widział go jeszcze, to już był w swojej „Komedii”. Życie prowadzone wbrew pospolitym oczekiwaniom cieszyło go więcej, niż to, w którym wymagano, by dreptał pod ich dyktando; śmierć była jego ostatnią walką, pożegnalnym wyzwaniem Losu na ubitą ziemię, podjętym, lecz przegranym protestem wobec jej nieodwracalnych konsekwencji.

Pogodzenie się z nią, rezygnacja z uporu wobec jej przyjsia, uznanie jej wyższości nad życiem, ta tchórzliwa forma zmysłowej uległości, dla niego, piewcy żelaznej woli, dla niego, półkrwi ateusza, była oznaką bojaźni, dowodem poddawania się werdyktom Macochy Natury.

Nie potrafił ulec jej obrządkom. Pojednanie się z nimi, zaniechanie sprzeciwu, to rodzaj samobójstwa; jego niepokorna egzystencja nie mogła nagle, pod wpływem chwilowej bezsily, zaakceptować swojego odrażającego przeciwiństwa.

Wprawdzie śmierć jest rezultatem życia, lecz rezultatem usprawiedliwionym przez cierpienie i organiczny bunt. Chwilowym triumfem materii nad wiecznotrwałą psyche, pyrrusowym zwycięstwem biologii nad rzeczywistością ducha...

W rzeczywistości wyższej niż realna pannał porządek; sprawy ziemskie były do czyszczone aż do granic jego życzeń i przebiegały po myśli tych, którzy chcieli, by ich nie opuszczał. Lot nad sobą sprawia jednak, że ziemskie utarczki stają się z czasem obojętne; ludzie, te tyle razy opisywane przez niego społeczne mikroby, tyle razy przewentylowane i naszpikowane obserwacjami z jego życia, blakły; wyrozumiałe, z pobłażliwym uśmiechem oddalały się od niego. A wiedząc, że już ich nie wskrzesi, ustami Lucjana Chardon ironicznie i chóralnie stwierdzały: *wszystko jest opodatkowane, wszystko się sprzedaje, fabrykuje, nawet powodzenie.*

Henryk Bergson

Jak dla Szekspira, tak dla Bergsona, życie nigdy nie było skończone, zamknięte. Była to rozprawa w toku, księga nieprzerwanie otwarta na zadziwienia i ciekawości ludzkim losem, był to poetycki proces i jego przedstawienie, jego silne promieniowanie na kulturę i obyczaje, a te rozprawy i egzystencjalne paradoksy lub metafizyczne dialogi z wła-

snymi wątpliwościami, polegały na odrzucaniu i ponownym gromadzeniu doświadczeń wyznaczających każdemu człowiekowi rozmiar osobowości.

Doświadczenia składające się na osobowość, są w stanie ciągłego przenikania się i wrzenia. Dobre i złe, łącząc się, porządkując i uzupełniając nawzajem, tworzą podstawę do podejmowania decyzji, działania, ruchu. Frazes: życie było dla Bergsona znajdowaniem odpowiedzi na fundamentalne pytanie o sens istnienia; życie było dla niego poruszaniem się ośnieżonej kuli ogarniętej przez lawinę, kuli toczącej się po pochyłej równi i w miarę pokonywania przestrzeni – obrastającej w śnieg; lawina, to galopada rozedrganych wydarzeń, a śnieg, to konkluzja z nich.

Ten wojujący przeciwnik sekciarstwa, w doktrynach wyrażał pogląd, że dotychczasowe hipotezy są li tylko sezonowymi przeświadczeniami, są niemal zręcznym i ledwie znakomitym opisaniem realiów miotających ludzkim istnieniem, hipotetyczną strawą duchową przyrządzoną przez ułomną inteligencję; zagorzały intuicjonista, zwolennik twórczej ewolucji, miłośnik rozumowania pozarozumowego, wyznawca i przewodnik po idei uczuciowego poznawania rzeczywistości, nieustającego, nieprzerwanie dynamicznego oddziaływania na siebie zjawisk, nonkonformistyczny mędrzec, dla którego nową regułą była walka z regułami zwierzającymi, powiadał, że nasza karykaturalna, wy-cinkowa wiedza ujawnia się w swoich mirażach.

Traktował ludzkie istnienie jako nieskończoną fluktuację podskórnych dążeń, jako jednostajnie przyspieszony, cykliczny ruch, jako wewnętrzną, harmonijną wymianę jednych doświadczeń na inne. Mówił, że działanie jawne, widoczne, społecznie aprobowane, jest zawsze fragmentaryczne, szczątkowe, okaleczone i zmasakrowane poprzez dyskursywne sito, przez hamulcowy aparat nazywany intelektem, jest konsekwencją i wypadkową mózgowej cenzury blokującej zrozumienie całkowite, natomiast poczynania na pierwszy rzut oka – dwuznaczne i zaskakujące, nieoczekiwane i niewytłumaczalne, nierozpoznawalne i osobliwe, uzasadniał – INTUICJĄ.

Według Bergsona, umysł zniekształca, zawęża i tak szczątkowe rozumienie rzeczywistości. Intelekt nie tylko ją zubaża, ale pomniejszając ją, nakazuje nam wierzyć w nią i

(Dokończenie na stronie 4)